



Wywiad z Shiny Beats

Witold Wachowski

Mieliśmy okazję zobaczyć, jak dobry macie kontakt z publicznością, jak szybko reagujecie na sytuację na sali itd. To wynik praktyki – czy nie mieliście z tym nigdy problemu?

Chyba jedno i drugie. Jako Shiny Beats zagraliśmy już kilkadziesiąt koncertów, a trudno przecenić rolę, jaką odgrywa doświadczenie w obyciu ze sceną. Raczej nie można nauczyć się tego w inny sposób; chociaż pewne naturalne predyspozycje są tu potrzebne. Poza tym każdy ma inny pomysł na siebie i inaczej zachowuje się podczas występu. Trudno oczekiwać od kogoś o wyjątkowo introwertycznym charakterze, aby robił coś wbrew sobie. Nas zawsze bardziej pociągał Freddie Mercury i flirtowanie z publicznością, niż granie dla samych siebie. Gramy dla innych, a nasz sceniczny *image* jest pochodną naszej muzyki.

W warszawskim klubie „Sen Pszczoły” wystąpiliście jako duet. Ale widywano Was też w innych składach.

Jesteśmy duetem. Założyliśmy i wymyśliliśmy Shiny Beats we dwójkę i wszystko co robimy od początku do końca robimy razem. Kiedyś przez pewien czas grał z nami jako członek zespołu perkusista, ale ta formuła nie sprawdziła się. Później korzystaliśmy na scenie z pomocy innych muzyków, chociaż były to jedynie gościnne występy. Może kiedyś w przyszłości, jak już będziemy bardziej znani, to zorganizujemy jakąś trasę koncertową z orkiestrą. Shiny Beats będzie jednak nadal duetem.

Wśród określeń gatunkowych Waszej muzyki pojawiają się: *new wave* (mocno ale świeżo słyszalne), *punk*, *electro*, *shoegaze*... Moglibyście to sami bardziej określić?

Ta Linneuszowska pasja do klasyfikowania oraz nazywania wszystkiego ma zawsze dwa oblicza. Z jednej strony odnosimy i porównujemy rzeczy nowe do tego, co już zna-

my, przez co łatwiej jest nam je poznać, zrozumieć. Z drugiej – takie zestawienie odbywa się często kosztem pewnego uproszczenia. Trudno jest nam dokładnie określić, jaką muzykę gramy. W największym ogóle tworzymy muzykę z nurtu *indie-electro*, czy też tak zwanej ambitnej elektroniki – o ile można mówić o istnieniu takiego gatunku, co do czego nie ma zgody. Wpisujemy się jednak w to wszystko, co wydarzyło się po *new rock revolution*, a co opiera się na elektronice. Jest więc w tym sporo *electro*, jest trochę *nu rave'u*, a także trochę nowej fali.

Jak to jest kontrolować interakcję z publicznością, a jednocześnie – instrumentarium oraz wokale? Powiedzmy sobie, że jesteście młodym zespołem.

Jesteśmy młodym zespołem; koncertujemy od około roku, w ciągu którego bardzo wiele się wydarzyło, a my bardzo zmieniliśmy się. Jeśli ktoś był na naszym koncercie wiosną 2010 roku i przyjdzie na nasz koncert dziś, to tak jakby grał dla niego zupełnie inny wykonawca. Nauczyliśmy się bardzo dużo, o czym mówiliśmy wcześniej, i cały czas bardzo dynamicznie rozwijamy się. Te trzy rzeczy, które wymieniłeś, nie sprawiają nam teraz żadnego problemu, przyszły z czasem. To, o co się martwimy, to żeby klub był dobrze nagłośniony i żeby nie sprzęgało, co jest prawdziwą zmurą prób technicznych.



(grafika z archiwum Shiny Beats)

Jak sami oceniacie Waszą biegłość w opanowaniu wykorzystywanego instrumentarium? A wokalnie? Bo wokalnie jesteście już mocno charakterystyczni – choć niektórzy wskazują na podobieństwa do konkretnych głosów lat 80.

Jest dużo lepiej niż kiedyś, kupujemy nowy sprzęt, rozbudowujemy aranże, piszemy bogatsze brzmieniowo piosenki. Wokalnie też się rozwinęliśmy. Na początku mieliśmy tylko męski wokal – w zależności od tego, czy zaśpiewany niżej czy wyżej – przyrównywany do barwy Iana Curtisa, Samuela Eastgate'a czy Andrew Van Wyngarden'a.

Taka też jest nasza pierwsza płyta – zaśpiewana w całości po angielsku, głosem męskim. Teraz piękniejsza część naszego duetu sięgnęła za mikrofon; lada moment ukaże się singiel wraz z promującym go teledyskiem i z niecierpliwością czekamy na „hejty” i porównania z Crystal Castles (śmiech).

Czy występ powoduje, że stajecie się kimś innym, zmieniacie wymiar, poznajecie inne ‘ja’? Czy to jednak jakaś naturalna ciągłość, a scena to żadna granica światów?

Tak by się mogło wydawać. Gdyby jednak ktoś zobaczył, jak zachowujemy się gdy jesteśmy sami tylko we dwójkę, prywatnie, to pewnie powiedziała by, że na scenie jesteśmy wyjątkowo spokojni i normalni.

Co możecie powiedzieć o Waszych temperamentach, osobowościach, skłonnościach? Jak one funkcjonują w pracy muzycznej? I jak się mają do Waszych tekstów?

Większość tekstów jest oniryczna i bajkowa, za wyjątkiem „Tonight”, która jest o imprezie i o niczym, a trochę też na koniec o miłości; oniryczna jest również – póki co nie wydana, lecz grana na każdym koncercie – „Let us play”, która jest trochę erotyczna i o zabawie. I chyba teksty oddają tę marzycielską część naszych osobowości. Muzyka jest radosna, sprzyjająca tupaniu nóżką. Nie wiemy, co to oddaje, ale chyba to, że lubimy tańczyć. Zwłaszcza ze sobą (śmiech).

Wiemy już [z przygotowywanej notki wstępnej do wywiadu z Wami], co oznacza ‘shiny beats’. A jak określilibyście właściwości Waszej muzyki – używając maksimum wyobraźni niekoniecznie muzycznej?

Definicja „shiny beats”, pojmowanego jako zjawisko fizyczne, w pełni oddaje to, co robimy. Kiedyś po którymś koncercie ktoś do nas podszedł i powiedział, że miał totalnego „doła” tego dnia, przyszedł przypadkiem na nasz koncert, a teraz znów chce mu się żyć. Tak właśnie określilibyśmy naszą muzykę. Bierzemy światło, zamieniamy je na muzykę i za pośrednictwem muzyki umieszczamy w duszach słuchaczy.

Czy któreś moje pytanie wydało się Wam nieco na siłę, sztuczne czy przeintelektualizowane? Tak szczerze!

Nie. To najlepsze pytania *whatsofar* jakie dostaliśmy (śmiech).